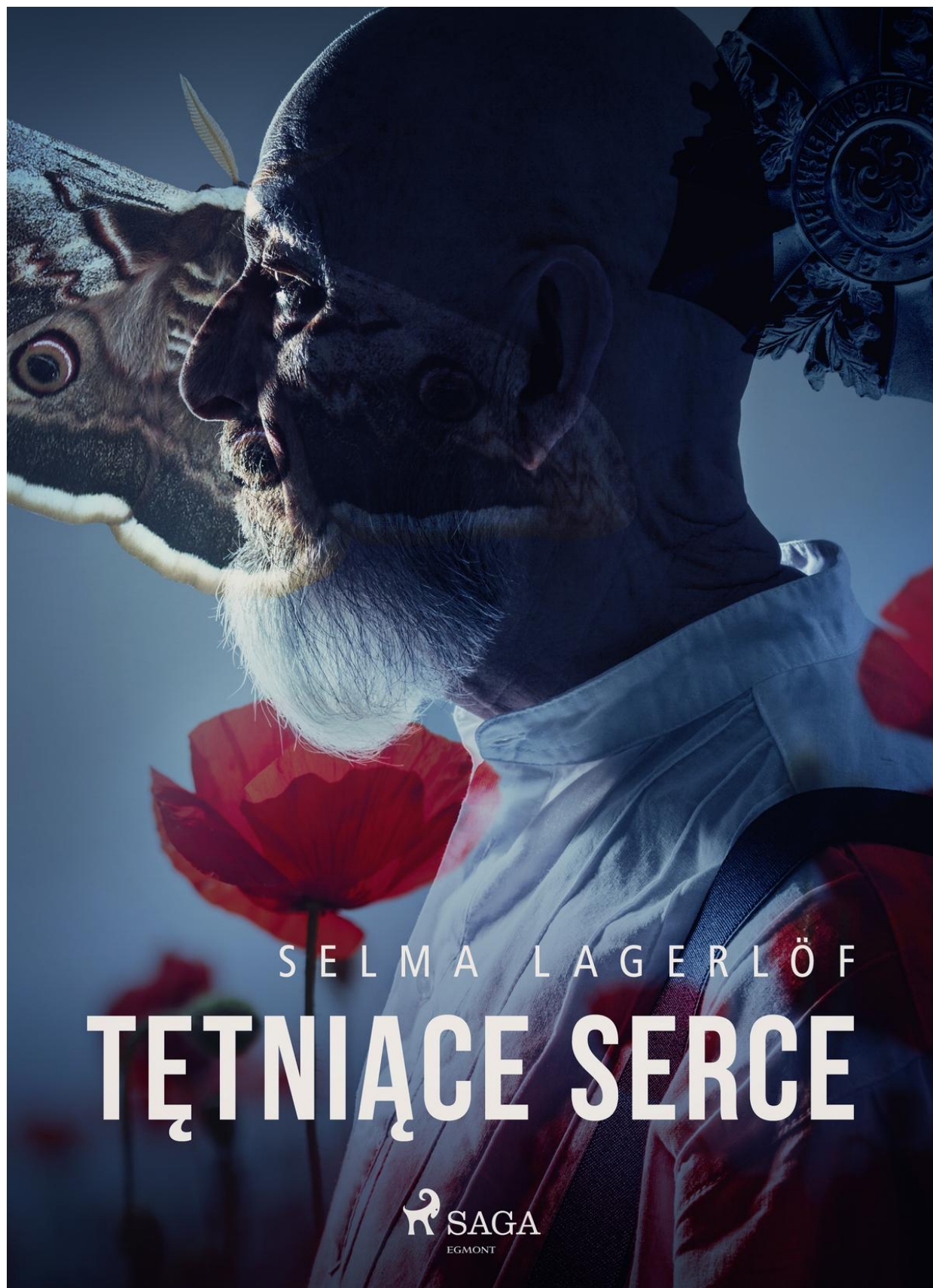


SELMA LAGERLÖF
TETNIÅCE SERCE

 **SAGA**
EGMONT



SELMA LAGERLÖF

TETNIACE SERCE

 SAGA
EGMONT

Selma Lagerlöf

Tętniące serce

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA
PRZEŁOŻYŁ
F. MIRANDOLA

WYDANIE DRUGIE

Saga

Tętniące serce

Tłumaczenie Franciszek Mirandola

Tytuł oryginału *Kejsarn av Portugallien*

Język oryginału szwedzki

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1914, 2021 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728061923

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

TĘTNIĄCE SERCE.

Aż do późnej starości opowiadał zawsze Jan Anderson ze Skrołyki o onym dniu, kiedy to przyszła na świat córka jego.

Wczesnym rankiem wybrał się po akuszerkę i kobiety do pomocy, potem zaś całe przedpołudnie, a nawet kilka godzin odwieczera przesiedział na kłocu w drewnutni i czekał, czekał, czekał bez końca.

Deszcz lał jak z cebra, a chociaż Jan siedział właściwie pod dachem, to pryskała nań woda, przenikając przez szczeliny w dachu i ścianach, także wiatr miótł raz po raz strugi i niby z wiadra chlustał przez pozbawione drzwi wejście do szopy.

— Nie wiem, czy jest taki, co by sądził, że cieszę się z tego dzieciaka! — mruczał i kopał niewielki stos polan nogami, tak że rozlatywały się aż po dziedzińcu. — Jest to największe nieszczęście, jakie mi się mogło przygodzić. Pobraliśmy się dlatego tylko, że nam się sprzykrzyło służyć u Eryka z Falli, jako parobek i dziewczka, i wiecznie na drugich pracować. Własne graty mieć chcieliśmy i dach własny i koniec, o dzieciach ani nam się śniło!

Zasłonił twarz rękami i westchnął żałośnie. Oczywiście, pluta i długie, przykre czekanie popsuło mu humor, ale nie były to istotne przyczyny smutnego nastroju. Jan miał powody ważne i żalność jego była uzasadniona zupełnie.

— Muszę pracować codziennie od rana do wieczora. . . to się rozumie. Ale miałem dotąd przynajmniej noce spokojne. Teraz zaś smarkacz zacznie wrzeszczyć i nawet w nocy nie skończą się moje utrapienia!

Gdy sobie to uświadomił, poczuł w sercu rozpacz wielką. Odjął ręce od twarzy i załamał je tak gwałtownie, że trzasły wszystkie stawy.

— Wszystko szło dotąd jako tako, bo Katarzyna mogła tak jak i ja pracować przez cały dzień. Teraz będzie musiała siedzieć w domu i piastować bachora!

Wbił wzrok w szarzejący już prostokąt podwórza i wydało mu się, że widzi snującą się powolnym krokiem koło domu śmierć głodową, która szuka, którądyby wejść.

— Tak. . . tak! — zawołał i celem wzmocnienia swej argumentacji zaczął bić pięścią po kłocu. — Tak. . . tak! Powiadam tylko tyle, że gdybym był wiedział, jakie będą skutki tego wszystkiego, odmówiłbym stanowczo Erykowi z Falli, który mi pozwolił pobudować się na jego gruncie, a w dodatku podarował stare belki. . . tak, byłbym stanowczo odmówił i został do śmierci w stajennej komórce w Falli.

Czuł, mówiąc to, że wyrzuca słowa straszne, ale nie miał ochoty cofać ich.

— A niechby się coś przydarzyło!. . . — zaczął znowu i miał właśnie wyrazić życzenie, by dziecko spotkał tak, czy owak jakiś przypadek, gdy nagle uszu jego doleciał krzyk malca. Urwał nagle wpół słowa. Było to, jakby pischczenie kurczęcia, przenikające przez ścianę, i Jan nie mógł już teraz wypowiedzieć swej myśli.

Drewutnia przybudowana była do chaty i ile razy natężył słuch, zawsze dochodziło go owo pischczenie. Jan, oczywiście, dorozumiał się zaraz co to takiego i siedział przez długi, długi czas niemy i bez ruchu, nic objawiając ani radości, ani strapienia.

Naraz wzruszył lekko ramionami i powiedział:

— No, nareszcie przyszło na świat, teraz więc mi chyba, na miły Bóg pozwolą wejść do izby i ogrzać się trochę.

Ale ta ulga nie rychło stała się jego udziałem i musiał znowu czekać z godziny na godzinę.

Deszcz lał ciągle z tą samą gwałtownością, wiatr wzmógł się jeszcze, a mimo że był to koniec sierpnia, zimno przenikało go, jakby w listopadzie.

Na dobitkę wszelkiego złego przyszła Janowi teraz do głowy myśl, która go osmuciła i rozgoryczyła jeszcze bardziej.

Uczuł, że nim wszyscy pogardzają i mają za nic.

— W izbie, nie licząc akuszerki, znajdują się trzy zameżne niewiasty! — mruknął do siebie. — Mogłyby się też pofatygować, albo przynajmniej jedna z nich przyjść tu i powiedzieć mi, czy to córka, czy syn.

Przyłożył ucho do ściany i przekonał się, że na kominie rozpalają duży ogień. Potem zobaczył, że kobiety czerpią wodę ze źródła, ale żadna nie zwróciła nań najlżejszej uwagi.

Znowu zakrył twarz dłońmi i zaczął żałośnie kołysać się wtył i naprzód.

— Mój drogi Janie Andersonie, — mówił do siebie. — Czegóż ci nie dostaje i gdzie twa wina? Czemuż wszystko idzie ci w życiu kulawo i czemuś zawsze taki przygnębiony? Ach, dlaczegożes to nie pojął ładnej szypkownej dziewczyny, ale ożenił się z Katarzyną, starą dziewczką od krów Eryka z Falli.

Strapienie przejęło go nawylot a nawet spadło kilka łez, przeciekając pomiędzy palcami.

— Czemuż to, — pytał dalej —dobry mój Janie, tak niewiele sobie z ciebie robią we wsi i czemu wszystkim przed tobą dają pierwszeństwo? Wiesz dobrze, że bywają równie biedni jak ty i niesprawni w robocie ludzie, a przecież nikogo nie spychają tak na szary koniec, jak ciebie. Czegóż ci tedy nie dostaje, drogi Janie Andersonie?

Pytanie to zadawał sobie Jan często, a zawsze zupełnie daremnie. Stracił całkiem nadzieję otrzymania na nie odpowiedzi, ale, rozważając swe właściwości, przekonał się,

że nie było nigdzie może żadnego wielkiego braku. Nic innego tedy nie mógł wymyśleć, tylko to, że najwyraźniej Bóg i ludzie byli dlań niesprawiedliwi.

Powziąwszy to przekonanie, odjął ręce od twarzy i spróbował przybrać minę wyzywającą.

— Gdy przyjdzie czas, że ci pozwolą wrócić do twego domu, Janie, — powiedział do siebie, — to ani jednego spojrzenia nie rzucisz na twoje dziecko, ale pójdziesz prosto do ogniska i zagrzejesz się.

— Albo, może lepiejby było — zaczął znowu — poprostu wstać i iść. Teraz, kiedy sam wiesz, że wszystko minęło, nie potrzebujesz tu dłużej wysiadywać! Otóż wstań, idź i pokaż Katarzynie i tamtym kobietom, że jesteś panem na własnych śmieciach!

Właśnie zabierał się wstawać z kłoca, gdy zjawiała się w otworze drewnutni gospodyni z Falli. Skłoniła się przed nim ślicznie i poprosiła, by przyszedł do izby i zobaczył swe dziecko.

Jan był tak źle usposobiony, że nie ruszyłby się napewno z miejsca, gdyby nie to, że zaprosiła go sama gospodyni z Falli. Wstał, naturalnie, zaraz i poszedł z nią, nie objawiając jednak żadnego pośpiechu. Ze wszystkich sił starał się naśladować minę i ruchy Eryka z Falli w chwili, kiedy zbliża się do urny wyborczej na ratuszu, aby złożyć w niej swą kartkę. Powiodło mu się to doskonale i wyglądał zupełnie tak samo poważnie i chmurnie.

— Proszę, wejdź Janie! — powiedziała gospodyni i otworzyła przed nim naściężaj drzwi, sama zaś usunęła się nabok, by wszedł pierwszy.

Od pierwszego spojrzenia przekonał się, że w izbie wszystko było ślicznie sprzątnięte i umiecione. Dzbanek z kawą stał na skraju komina, by płyn przestygł nieco, a stół pod oknem zastawiony był filiżankami gospodyni z Falli, oraz zasłany śnieżystej bieli obrusem. Katarzyna leżała w

łóżku, zaś dwie, przybyłe z pomocą niewiasty stanęły pod ścianą, tak, by dobrze mógł się przyjrzyć całemu urządzeniu izby.

Przy stole stała akuszerka i trzymała na rękach tłumoczek.

Mimowoli przyszło na myśl Andersonowi, że wszystko tak wygląda, jakby on tu był pierwszą osobą. Katarzyna patrzyła nań przychlebnie, jakby się pytała, czy jest z niej zadowolony. Oczy wszystkich obecnych były nań zwrócone, czekali najwyraźniej, by im udzielił pochwały za trud, jaki sobie zadali, by stancja miała wygląd odświętny.

Jakże jednak trudno radować się, gdy cały dzień przesiedziało się w drewnutni, zziębło na kość i gdy człowieka, poprostu, diabli biorą. Jan nie mógł pozbyć się miny Eryka z Falli, i nie mówiąc nic, stał pośrodku izby.

Widząc to, postąpiła ku niemu akuszerka, a krok ten postawił ją w bezpośredniej bliskości Jana, albowiem rozmiary izdebki były bardzo małe.

— Proszę się przyjrzyć swej córeczce! — powiedziała, podając mu powiśniętą. — Jest to dziecko, jakich mało!

Biedny Jan trzymał teraz w rękach coś ciepłego, miękkiego, uwiniętego w kilka chustek, z pośród których wyzierała maleńka, pełna zmarszczek buzia i skurczone, drgające ciągle rączyny.

Stał zmieszany i zadawał sobie pytanie, co ma uczynić z ową rzeczą, którą mu położono na ramieniu. Zadumał się nad tem, ale nagle uczuł jakby pchnięcie, tak silne, że on sam i dziecko oboje zadrżeli. Ciosu tego nie zadał mu nikt z obecnych, to pewne. Nie wiedział tylko, czy punktem wyjścia było owe maleństwo, czy może stało się to w nim samym i skierowało się ku dziecku. Nie mógł tego w żaden sposób rozwikłać.

Bezpośrednio potem, zaczęło mu tak mocno bić i tętnić serce, jak nie zdarzyło się, od kiedy żył na świecie. Nie było

mu już teraz zimno, nie czuł żalu, goryczy, ni smutku, ale przeciwnie, wszystko wydawało mu się bardzo dobrem i pięknem. Niepokoiło go tylko, że nie rozumie, dlaczego w piersi jego w ten sposób puka, bo w ciągu całego dnia nie tańczył, ani nie biegał, ani nie wspinał się na wysoką górę.

— Proszę, połóżcież tu dłoń! — powiedział do akuszerki.

— Wydaje mi się, że serce moje bije jakoś niezwyczajnie!

— Prawda! Bicie serca nielada! — odparła. — Czy się to zdarza często?

— Nie! Dotąd nie zdarzyło się jeszcze! — zaręczał Jan. — Przynajmniej nie miałem dotąd tak silnego ataku.

— Czy się czujecie źle, Janie? Czy was co boli?

— Nie. . . nie. . . nic mi nie dolega! — odrzekł.

Akuszerka nie wiedziała co to ma znaczyć i powiedziała:

— Tak, czy owak, muszę zabrać dziecko!

Ale Jana opanowało nieznane mu dotąd uczucie i nie chciał oddać dziecka.

— Zostawcie mi je! — prosił.

Kobiety musiały w tej chwili coś wyczytać w jego spojrzeniu, albo posłyszyć w głosie coś, co nastroiło je radośnie. Akuszerka uśmiechnęła się kątami ust, a pomocnice roześmiały się w głos.

— Jakto, Janie? — spytała. — Czyż nie kochaliście dotąd nikogo na świecie do tego stopnia, by serce wam doń biło gwałtownie?

— Nie! — odrzekł szczerze.

Pojął teraz nagle, co wywołało tak silne bicie jego serca. Ale mało tego, zrozumiał w tej chwili, czego mu dotąd brakło w życiu i co było powodem wszystkich utrapień. Oto, nie można przecież uważać za człowieka, jak należy tego, którego serce nie bije żywym tętnem, ani z bólu, ani też radości.

KLARA FINA GULLEBORGA.

Następnego dnia Jan ze Skrołyki stał przez kilka godzin z rzędu pod domem, trzymając na ręku swą córeczkę.

I tym razem czekał długo, ale sprawa przedstawiała się już zgoła inaczej, niż wczoraj. Miał towarzystwo, to też ani się gniewał, ani smucił.

Trudno powiedzieć, jak miłego doznawał uczucia, przyciskając do piersi małe, ciepłe ciało dziecka. Przyszedł do przekonania, że dotąd nawet dla siebie samego był twardy, nieprzychylny i zły, teraz zaś przepajała go radość i szczęście niewysłowione. Nie miał pojęcia, że można doznawać owego szczęścia przez to jeno, iż się kogoś kocha z całego serca, z całej duszy swojej.

Stał pod domem, u samych drzwi, z pewnym naturalnie zamiarem. Miała się stać w tem właśnie miejscu rzecz ważna, a nawet decydująca.

Od samego rana wysilali się oboje z żoną na wyszukanie imienia dla dziecka. Rozstrząsali sprawę bardzo gruntownie i długo, zastanawiali się nad każdym z możliwych imion, wążąc wszystko, co przemawiało za lub przeciw, ale nie mogli dojść do żadnego rezultatu.

Nakoniec powiedziała Katarzyna:

— Niema innej rady, tylko musisz stanąć z dzieckiem pod domem i uważać na przechodzące мимо kobiety. Pierwszą jaka się pokaże, spytaj o imię i to imię właśnie, czy będzie proste czy pańskie, damy naszemu dziecku.

Ale domostwo leżało na uboczu, zdała od drogi, przeto nie zdarzało się wielu przechodniów. . . ba. . . często nie pokazał się nikt przez cały dzień.

Dnia tego mgła przysiadła góry, nie padał jednak deszcz i nie wiał wiatr, przeciwnie nawet, zrobiło się dosyć parno.

Gdyby nie to, że Jan trzymał na ręku swą córeczkę, niezawodnie dawnoby stracił nadzieję zobaczenia przechodnia i rzekłby sobie poprostu:

— Mój Janie Andersonie, pamiętajże, iż dom twój stoi zdała od ludzkich osiedli nad jeziorem duwneńskim w kotlinie Askadalarnej i że tutaj w pobliżu jest tylko jeden folwark jak się patrzy, pozatem zaś mieszkają jeno rozsiani po cudzych gruntach komornicy, rybacy i łatacze sieci. Skądżeby się tu wzięło pańskie imię dla twojej córki, a podłego nie weźmiesz przecie!

Ale sprawa dotyczyła jego córki, przeto nie wątpił, że wkońcu powiedzie mu się, byle tylko czekał cierpliwie. Spozierał ku jezioru i nie zważał wcale na pustać wokoło, nie chciał brać w rachubę dziczy tej zapadłej kotliny. Wszakże może się zdarzyć, że spodoba się jakiejś wytwornej damie z niedalekiej huty duwneńskiej, przeprowadzić na tę stronę jeziora. Jan pewny był nawet, że musi to nastąpić i to umyślnie z powodu jego córeczki.

Dziecko spało przez cały czas, mógł tedy stać pod drzwiami, jak długo mu się podobało i na jak długo starczyło mu cierpliwości. Gorzej było z Katarzyną, nie mogła sobie dać rady i raz po raz pytała, czy kogo nie widać. Jej zdaniem nie powinien już dłużej wystawać, bo dziecku mogło się stać coś złego.

Patrzył w kierunku wirchu Stornsnipy, wychylającego się stromą ścianą z pośród lasów brzozowych i poletków pól askadalarneńskich, co wyglądał na potężną basztę forteczną, pilnującą, by nie dotarł do doliny ktoś niepożądany. Mogło się zdarzyć, że jakaś wykwinтна dama, podziwiająca ze szczytu okolicę, w drodze powrotnej zabłądzi i znajdzie się blisko jego domku.

Uspakajał tedy, jak mógł, Katarzynę. Nic nie zagrażało ani jemu, ani dziecku, a że stał już tak długo, to przecież może postać jeszcze trochę.

Ni śladu człowieka dostrzec nie mógł, ale coraz to większej nabierał pewności, że skądś przyjdzie rada, byle tylko jeszcze trochę poczekał. Nie mogło się stać inaczej. Czyżby się zdziwił, gdyby nagle zjawiała się pośród lasu, poszywanego stoki gór, królowa w złotej karecie po to jeno, by córeczce jego nadać swe imię?

Minęła znowu dobra chwila, a Jan zaczął miarkować, że nadchodzi wieczór. Trudno więc było czekać dłużej na dworze.

Katarzyna spoglądała co moment na zegar, wiszący na ścianie, i wołała, by wracał, bo późno.

— Jeszcze małą chwilkę zaczekaj! — odrzekł Jan. — Właśnie widzę kogoś w dali!

Przez cały dzień mgła wisiała nad światem, teraz jednak słońce przejrzało przez nią i ozłociło promieniami dziecinę.

— Nie dziw mi wcale, że chcesz spojrzeć na małą zanim pójdziesz spać! — powiedział Jan do słońca. — Warto popatrzeć na takie dziecko. . . ani słowa. . . warto!

Słońce wydobyło się całe z chmur i rzuciło snop czerwonej poświaty na dziecko, Jana i cały domek.

— Acha. . . widzę, że chcesz mej córce być ojcem chrzestnym! — powiedział znowu Jan.

Słońce nie dało bezpośredniej odpowiedzi, tylko jeszcze jaśniej zabłysło, potem zaś przysłoniło się znowu welonem chmur i znikło.

Znowu rozległo się wołanie Katarzyny:

— Czy był kto? Słyszałam, że mówiłeś do kogoś. Nie mogę czekać dłużej, wracaj do domu.

— Teraz już mogę wrócić! — zgodził się i zaraz wszedł do izby. — Zdybałem pewną znakomitą damę. Ale spieszo jej

było bardzo, zaledwo ją mogłem pozdrowić i zaraz się oddaliła.

— Szkoda! Czekaliśmy tak długo! — narzekała Katarzyna. — Czy jednak spytałeś jej o imię, może ci zbrakło czasu?

— Spytałem. Miała na imię Klara, Fina, Gulleborga. ¹ Tylem się dowiedział.

— Klara, Fina, Gulleborga! — zawołała Katarzyna. — To przecież zbyt pańskie imiona dla naszej córki! — Ale nie sprzeciwiała się.

Jan przeraził się tego, co mu się przydarzyło, i zdziwił się swej śmiałości, iż sięgnął tak wysoko, by słońce brać za ojca chrzestnego dla swej córki. Ale trudno, ile razy brał na ręce swe dziecko, coś się z nim działo i stawał się zgoła innym człowiekiem.

CHRZEST.

Kiedy małą miano zawieźć na plebanję, a potem do kościoła do chrztu, zachował się ojciec jej Jan w sposób tak głupi, że go omal nie zwymyślała żona własna i rodzice chrzestni i to ostatniemi słowy.

Mieli ją do chrztu trzymać Eryk i żona jego, gospodarstwo z Falli. Erykowa wzięła dziecko na ręce i siadła do bryczki, a Eryk szedł obok piechotą, kierując koniem. Pierwszy kawałek drogi, aż do huty duwneńskiej był tak zły, że nie można tego było wogóle nazwać drogą, to też Eryk, wioząc niechrzczone dziecko, nie zaniedbał środków ostrożności.

Jan przyglądał się bacznie przygotowaniom do drogi. Sam wyniósł dziecko z izby i oddał gospodyni, a nikt lepiej odeń nie wiedział, w jak pewne je oddaje ręce. Eryk z Falli w powożeniu był równie zaufania godnym, jak w każdym innym uczynku swoim, wiedział to Jan doskonale. Erykowa z Falli urodziła siedmioro dzieci i wychowała, o czym Jan równie dobrze wiedział. Przeto nie miał najmniejszego powodu do obaw, ani żadnych wątpliwości.

Kiedy jednak odjechali, a on, straciwszy ich z oczu, poszedł na ugorzysko Eryka z motyką, uczuł nagle strach wielki, a niepojęty zgoła. Cóżby się stało, gdyby nagle koń Eryka spłoszył się i poniósł? Albo gdyby proboszcz upuścił dziecko w chwili odbierania go z rąk chrzestnej matki? Albo gdyby gospodyni z Falli owinęła dziecko w taką ilość różnych chustek, że po przybyciu na plebanję okazałoby się, iż zostało zaduszone?

Jan powtarzał sobie po kilka razy, że bardzo to głupio z jego strony bać się i trapić bez powodu, gdy ma za rodziców chrzestnych swego dziecka ludzi tej miary co Erykowie z Falli. Ale strach nie dał się odpędzić i za chwilę tak go chwycił, że nie mógł ścierpieć. Odrzucił motykę i jak stał, w roboczej odzieży, udał się prosto na plebanję.

Dla pospiechu obrał drogę naprzeląj, poprzez góry, i maszerował co siły w nogach. Eryk z Falli, wjeżdżając w obejście gospodarskie plebanji, natknął się jako na pierwszego człowieka na Jana Andersona ze Skrołyki.

Jest to rzecz wprost nieprzyzwoita, by rodzice byli obecni podczas chrztu swego dziecka w kościele, to też Jan spostrzegł zaraz niezadowolone miny rodziców chrzestnych, gdy zobaczyli, że przyszedł. Eryk nie skinął nań wcale, wyprzęgając konia, by mu pomógł i dokonał tego sam. Podobnie też, nie zwracając nań uwagi i nie rzekłszy słowa, gospodyni z Falli uniosła dziecko w górę i, przebywszy niewielki kawałek podwórza, weszła do plebańskiej izby czeladnej.

Czując, że chrzestni nie chcą go widzieć, nie śmiał Jan zbliżyć się do nich, kiedy jednak mijała go gospodyni, posłyszał dolatujący z chustek pisk małego kurczęcia i przekonał się, że dziecka nie uduszono w drodze.

Powinien był teraz wracać prosto do domu. Niestety, zbudziła się w nim zupełna pewność, że proboszcz upuści dziecko na ziemię, a przeto nie mógł odejść, ale przeciwnie chciał uczynić co trzeba, by zapobiec złemu.

Czekał przez chwilę w podwórzu, potem podszedł ku plebanji i wszedł na ganek.

Najgorszy nietakt, jakiego się dopuścić może ojciec dziecka, to kiedy zjawia się osobiście u plebana, a sprawę pogarszał tu jeszcze fakt, że Jan miał takich kumotrów jak Eryka z Falli i jego żonę. Kiedy się tedy wślizgnął nieśmiało do kancelarii proboszcza podczas świętego obrzędu, w

brudnem odzieniu roboczem i nie było możliwości pozbycia się go, oboje rodzice chrzestni postanowili uroczyście po powrocie do domu zwymyślać Jana porządnie za ten uwłaczający im postępek.

Chrzest odbył się, jak należy, bez najmniejszego przypadku, a Jan nie miał żadnego usprawiedliwienia dla swego nierozumnego czynu. Przed samym też końcem otworzył cichaczem drzwi i wyslizgnął się na ganek. Widział na własne oczy, że i bez niego wszystko szło pomyślnie.

Po chwili ukazał się w progu Eryk z Falli wraz z żoną swoją. Chcieli przejść do izby czeladnej, gdzie leżały chustki, z których gospodyni wymotała dziecko, udając się do kancelarji.

Eryk poszedł przodem i otworzył przed żoną drzwi. W tej jednak chwili, wypadły z wnętrza dwa młode koty na ganek i skłębiły się tuż pod nogami idącej, tak że się potknęła i straciwszy równowagę uczuła, iż pada na ziemię.

Błyskawicznie przemknęło jej przez myśl:

— Upadnę wraz z dzieckiem i zgniotę je ciężarem własnym. Tego nieszczęścia nie zapomnę przez całe życie!

Ale w tej chwili pochwyciły ją czyjeś silne dłonie i przytrzymały. Gdy się obejrzała, zobaczyła, że przyszedł jej z pomocą Jan ze Skrołyki, który przystanął tuż obok wejścia, jakby wiedział, że będzie tutaj niezbędnie potrzebny.

Zanim gospodyni z Falli przyszła do siebie ze strachu i zdobyła się na słowo, Jan znikł gdzieś. Przybywszy z mężem do domu, zastała go na ugorzysku z motyką, pracującego zawzięcie.

Po zapobieżeniu nieszczęściu, uczuł taki spokój ducha, że wrócił niezwłocznie do domu, w najweselszym nastroju.

Ani Eryk z Falli, ani jego żona nie uczynili mu żadnej uwagi z powodu niestosownego zachowania się podczas obrzędu chrztu. Przeciwnie, gospodyni zaprosiła go

uprzejmie na kawę, mimo że był ubrany jak do roboty i zachlapany gliną przy pracy na rozmokłym jesienną porą ugorzysku.

SZCZEPIENIE.

Kiedy miano szczepić córkę Jana ze Skrołyki, nie sprzeciwiano się wcale, by był obecny przy tym obrzędzie, zwłaszcza, że głośno chęć tę wobec wszystkich wyjawiał. Szczepienie odbyć się miało pewnego wieczora w sierpniu i kiedy Katarzyna wyruszyła z domu, zmierzch już padał gęsty. To też rada była, że ma kogoś przy sobie w drodze trudnej, przez doły, rowy i płoty wiodącej.

Dzieci szczepić miano w domu Eryka z Falli, a Erykowa roznieciła na kominie ogromny ogień, by było jasno. Na stole, gdzie kościelny miał dopełniać swych czynności, świeciła się jeno mała łojówka, przeto ognisko wcale zbytymczasem nie było.

Mieszkańcy Skrołyki zauważyli, podobnie jak i inni przybysze, że izba czeladna dzisiaj jaśniej światłem niezwykłym, atoli tem ciemniejszą wydała się czerń na dworze, stojąca niby nieprzenikniony mur tuż za ścianami. W takich warunkach rozmiary izby czeladnej stały się jakby mniejsze niż zazwyczaj. Z czerni owej wynurzały się co chwila pod oknami kobiety z dziećmi na rękach i drzwi otwierały i zamykały się raz po raz. Malcy nie miały więcej nad rok życia, to też wszystkie przynoszono zapatulone w chustki, niby naręcza bielizny.

Kobiety rozwijały swe maleństwa, a po wszystkich kątach piętrzyły się chustki, szale i okrycia. Matki zdejmowały też z maleństw barchanowe sukienki i rozluźniały tasiemki, przytrzymujące koszulki, aby prędko odsłonić górną część ciałek w chwili, gdy kościelny zawezwie do stolika.

W izbie panowała dziwna cisza, mimo że mnóstwo w niej było krzykalskich. Malcy gapiły się na siebie wzajem i sprawiało im to widocznie taką przyjemność, że całkiem zapomniały o wrzasku. Matki trwały również w milczeniu by lepiej słyszyć, co mówi kościelny, rozmawiający przez cały czas z wszystkimi.

— Wielka to dla mnie przyjemność, — mówił — gdy mogę chodzić ze wsi do wsi całego okręgu i szczepiąc patrzeć na tyle ślicznych malców. Przypatrzmyż się tedy temu roczniakowi, zali wytrzyma porównanie z innymi. . .

Był on nietylko kościelnym, ale zarazem nauczycielem i od czasów niepamiętnych mieszkał w parafji. Szczepił on już matki, uczył je, asystował przy ich konfirmacji, był świadkiem ślubów, a teraz oto szczepił dzieci. Po raz pierwszy zetknęły się dzisiaj malcy z owym człowiekiem, który w całym ich późniejszym życiu odgrywać miał tak wielką rolę.

Zpoczątku wszystko szło pomyślnie. Jawiła się jedna matka po drugiej, siadała na krześle przy stole i trzymała dziecko w ten sposób, by światło padało na obnażone lewe ramię maleństwa. Kościelny, rozmawiając ciągle, czynił trzy sakramentalne nacięcia na białej, lśniącej skórze, a dziecko nie wydawało nawet okrzyku.

Potem matki podchodziły ku ognisku i trzymały malców przez pewien czas w bliskości ognia, by szczepionka należycie zaschła. Czyniąc to, myślała każda o tem, co usłyszała od kościelnego i radowała się opinią, jaką wydał o dziecku. Rozpamiętywała z lubością, iż uznał je za zdrowe, dorodne i prorokował, że stanie się jej pociechą, pomocą w gospodarstwie i że wyrośnie na równie dzielnego człowieka, a może dzielniejszego jeszcze, niż dziadowie i pradziadowie.

Wszystko odbywało się sprawnie i cicho, aż do chwili, gdy przyszła kolej na Katarzynę ze Skrołyki. Gdy usiadła na

krzesła z Klarą, mała zaczęła się bronić, objawiając najwyższą niechęć. Krzyczała i trzepała rączkami, mimo że kościelny przemawiał do niej łagodnie i przymilnie i mimo usiłowań matki, chcącej ją uspokoić.

Opanował ją jakiś dziki strach, tak że Katarzyna musiała odejść nabok i uciszyć małą, a tymczasem zaszczepiono tłustego, wielkiego chłopca, który zniósł tę operację, nie wydawszy wcale głosu. Katarzyna wróciła ponownie ku stolikowi, ale Klara natychmiast rozpoczęła swój poprzedni występ i o szczepieniu nie mogło być mowy. Mała rzucała się tak, że kościelny ani razu nie był w stanie dotknąć nożykiem jej ramienia.

Klara była ostatniem, niezaszczepionem jeszcze dzieckiem w całej izbie i Katarzyna wpadła w bardzo zły humor z powodu niewłaściwego zachowania się swej córki. Nie wiedziała też co czynić i rozglądała się wokoło, gdy nagle wystąpił z ciemności, koło drzwi stojący Jan.

Wziął małą na ręce, a Katarzyna wstała z krzesła, by mu zrobić miejsce.

— Ano, spróbuj — powiedziała — może tobie powiedzie się lepiej! — W głosie jej przebijało nieco pogardy, gdyż nie uważała pod żadnym względem za coś lepszego od siebie podrzędnego, odprawionego ze służby parobka Eryka z Falli, który został jej mężem.

Zanim Jan usiadł, zrzucił kaftan i oto pokazało się, że korzystając z ciemka, zawinął wysoko lewy rękaw koszuli.

Wyciągnął ku kościelnemu nagie ramię i powiedział, że radby się też zaszczepić. W ciągu całego życia raz tylko był szczepiony, a niczego się tak nie obawiał jak ospy.

Ujrawszy nagie ramię, Klara uspokoiła się w jednej chwili i patrzyła na ojca z uwagą niezmierną, rozwierając szeroko swe oczy.

Przyglądała się bacznie, jak kościelny robił trzy nacięcia na ramieniu, które podchodziły krwią. Wodziła spojrzeniem

z jednego na drugiego i zmiarkowała, że ojcu nic złego się nie stało.

Gdy kościelny skończył operację, Jan zwrócił się doń i powiedział:

— Teraz dziecko uspokoiło się całkiem, możeby spróbować raz jeszcze?

Kościelny w istocie spróbował jeszcze raz i rzecz powiodła się nadspodziewanie! Klara patrzyła na nożyk, tnący jej skórę, z miną skupioną i mądrą i nie wydała ani jednego krzyku.

Kościelny milczał również, gdy zaś skończył, powiedział do Jana:

— Jeśli uczyniłeś to, Janie, tylko dlatego by uspokoić małą, to mogliśmy udać, że zapuszczamy szczepionkę. . . wystarczyłoby to jak sądzę całkiem. . .

Jan mu przerwał i rzekł:

— O nie. . . nie. . . panie kościelny, nie udałoby się to napewno. Niema na świecie drugiego takiego dziecka. Nie można tej małej okpić, nie można w nią wmówić czegoś, co nie jest rzetelną prawdą.

ROCZNICA URODZIN

W dniu, w którym Klara ukończyła pierwszy rok życia, ojciec jej pracował znowu na ugorzysku Eryka z Falli, przekopując motyką lepką glinę.

Kopał i usiłował przypomnieć sobie, jak to się działo wówczas, kiedy nie miał jeszcze nikogo, o kimby mógł myśleć podczas pracy w polu, wówczas, kiedy serce w piersiach jego nie umiało jeszcze bić mocno kiedy nie tęsknił wcale i nie odczuwał żadnego nie pokoju.

— Dziwne, że człowiek może żyć w ten sposób! — rzekł głośno i uczuł wielką dla siebie samego pogardę.

— Tak, w tem cała rzecz! — ciągnął dalej. — Choćbym był tak bogaty, jak sam Eryk z Falli, albo tak silny, jak Börje, który tam opodał kopie w polu niczemby to było wobec tętniącego serca, które żyje w piersi mojej.

Spojrzał w stronę, gdzie pracował Börje, osiłek wielki, który podołał dwa razy lepiej każdej pracy niż on, iż paliła mu się poprostu w rękach. Ale gdy tak patrzył, wydało mu się, że Börje dziś nie robi tak sprawnie i nie dokonał tyle co zazwyczaj.

Obaj robili u Eryka z Falli na akord, a Börje odstawiał zawsze dwa razy tyle co Jan, ale zazwyczaj kończyli pracę razem, a dzisiaj, dziwnym trafem Börje nietylko go nie prześcignął, ale został daleko w tyle za słabszym nierównie Janem.

Jan chciał co prędzej wrócić do swej córeczki, to też wkładał w robotę cały wysiłek, do jakiego był zdolny. Tęsknił dziś do niej dużo więcej jeszcze niż zazwyczaj, a przytem nie schodziło mu w myśli, że dziecko bywa

wieczorem śpiące, to też może zasnąć, zanim zdąży wrócić z roboty. I na nic będzie wszystko.

Gdy skończył pracę, zauważył, że Börje doszedł ledwo do połowy zagona, co nie zdarzyło się dotąd nigdy, chociaż oddawna już pracowali razem. Zdziwiło to Jana do tego stopnia, że podszedł do Börjego.

Börje stał w głębokiej jamie i usiłował wyważyć łopatą wielką, zbitą grudę ziemi nawierzchni. Trafił przypadkiem na kawałek szkła i skaleczył się dotkliwie w stopę. Nie mógł wdziać buta, więc łatwo zrozumieć, jak strasznie było mu naciskać łopatę okaleczała, bosą nogą. A inaczej nie chciała wchodzić w glinę przerosła kamieniami.

— Daj lepiej spokój! — powiedział Jan.

— Nie, muszę skończyć! — odrzekł Börje. — Nie dostanę żyta od Eryka z Falli, zanim nie skończę tego zagonu, a nie mam już w domu ani szczypty mąki.

— Ano to dobranoc! — powiedział Jan.

Börje nie odrzekł nic. Był tak zmęczony i znękanym, że nie mógł się zdobyć na zwyczajne nawet pozdrowienie.

Jan doszedł do końca pola i nagle zatrzymał się.

— Cóż stąd przyjdzie twojej córce, że przyjdiesz do niej w rocznicę urodzin? — rzekł sam do siebie. — I bez ciebie dobrze jej, a Börje ma w domu siedmioro dzieci, których nie może wyżywić. Czyż zniesiesz, by głodowały, a sam pójdziesz bawić się ze swoją Klarą Gullą?

Wrócił do Börjego, stanął obok niego i jął się ostro roboty. Ale był już zmęczony własną pracą, przeto nie szło mu sporo i zmierzchn już zapadł, nim skończyli zagon.

— Klara śpi już oddawna! — pomyślał Jan, odrzucając łopatę. — Dobranoc! — powiedział Börjemu po raz drugi.

— Dobranoc! I dzięki za pomoc! — odrzekł Börje. — Zaraz pójde po obiecaną żyto! Odpłacę ci to niedługo, Janie, możesz być pewny!

— Nie chcę zapłaty! Dobranoc!